



Autor 11 książek, w tym 2 tomów poetyckich – *Jesień* (2009) i *Jesień 2* (2010) oraz utworów prozatorskich: powieści *Tomasz* (2002) i zbioru opowiadań *Tamte lata* (2005), *Domki z kart* (2004), *Świniobicie* (2003), *Powołanie* (2006), *Z nieba do piekła* (2007), *Saga rodu Oryszów. Cz. I. Powroty* (2014) oraz wspomnień – *W krainie dzieciństwa* (2012) i *Uniwersyteckie lata* (2013). Laureat nagrody Złotego Pióra.

ZAWIEDZIONA MIŁOŚĆ

(fragment 2. części *Sagi rodu Oryszów* pod tytułem *Zawiedziona miłość*)

Maria ubrała swój jasny, niedawno uszyty płaszcz, wzięła podrózną skórzaną torebkę i wyjechała z Grabowa. Najpierw kursowym autobusem udała się do Łęczycy, a stąd do Dworakowa.

Był chłodny, majowy poranek, a niebo zachmurzone, tak jakby chciało padać. Siedząc w autobusie, zastanawiała się nad tym, co ją tam czeka i co ma powiedzieć przy spotkaniu z córką. To będzie na pewno trudna rozmowa. Jeszcze nigdy o takich sprawach przecież ze sobą nie rozmawiała. „Boże jedyny, pomóż mi!”

Renata mieszkała w dawnym, parterowym dworku, który w jednej części został zamieniony na szkołę z dwiema izbami i dom nauczyciela, a w drugiej mieszkali Stajudowie, dawni właściciele, gospodarujący obecnie na resztówce, trzydziestu hektarach ziemi. Poznała ich parę miesięcy temu podczas odwiedzin córki. Sympatyczni i szlachetni ludzie, córka miała w nich naprawdę oparcie. „Z pewnością jej kłopoty rozumieci i współczuli. Więcej przecież uczynić nie mogli. Bo skąd?”

Na widok matki Renata z widoczną już zaawansowaną ciążą zaczęła płakać. Maria, choć miała jej czynić wyrzuty, powiedzieć tyle przykrych słów, zaniemówiła.

– A co na to ten twój chłopak, ten narzeczony? – zapytała, przyglądając się córce. – Jak on tam?

– Szkoda mówić... Ktoś z naszych z Grabowa nagadał, że to nie jego dziecko.

– Tak?... A co ty na to?

– Mój Boże, i ty, mamo, mi nie wierzysz?

– To kto tak naopowiadał?

– Ponoć Borucki. Ten co dachy naprawia.

– Borucki?... Ten dekarz?... Jak się z nim spotkam, to porozmawiam i dowiem się wszystkiego. A teraz musisz przyprowadzić tego twojego, jak mu tam?... No?

– Franek... Zybura.

– Tego Franka Zybure, powsinogę... Jakoś nigdy wcześniej o nim nie wspominałaś.

– A co miałam wspominać. Myślałam, że jak przyjdzie czas, to go zaproszę do nas. Oświadczy się... to wtedy.

– A wyszło, jak wyszło, co?

– No tak!

Renaty nie było blisko pół godziny. Maria siedziała w pokoju na krześle, spoglądając ze smutkiem na skromne wyposażenie. Znajdowały się w nim tylko dwa metalowe łóżka, stół i cztery krzesła oraz stara szafa, a przed drzwiami na podłodze pomalowanej czerwonym lakierem leżał wytarty dywanik. Ale za to było czysto i panował w nim ład i porządek. To dobrze świadczyło o obu młodych nauczycielkach. Koleżanki, z którą córka mieszkała, nie było. „Sobota, pewnie pojechała do domu, do swojej rodziny. Boże, przecież to już blisko wakacje”. Pokiwała z przyzwyczajenia głową. „A no tak!”

Zaczynał się już wieczorny zmierzch. Przez okno doleciał ją duszny zapach kwitnących akacji. Maria poszukała zapalek, przetrzała kłosz i zapaliła naftową lampę, która oświetliła wnętrze pokoju małym, jasnym płomieniem. Zrobiło się jakby cieplej, przyjemniej.

– Franek przyjdzie, jak wszystko porobi w gospodarstwie. Dopiero co przyjechał z pola. Musi jeszcze obrządzić bydło.

– Bydło? Tak powiedział? A to nie może kto inny?

– A no widać nie. Mieszka sam z matką.

Obie cierpliwie czekały, choć takie lekceważące zachowanie wiejskiego chłopaka wyraźnie się jej nie spodobało. To chyba coś znaczyło. Jakby zły znak.

– Zrób jakieś kanapki! A jak przyjdzie Zybura, poczęstuj też herbatą.

Gdy Renata przygotowywała poczęstunek, rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Proszę.

W drzwiach pokazał się szczupły, wysoki mężczyzna, zwyczajnie ubrany. Miał na sobie przeciwdeszczowy szary płaszcz i wyglądał na typowego wiejskiego kawalera. Brakowało mu tylko strażackiego munduru ze srebrnymi galonami i koalicijką oraz czapki z niebieskim otokiem na głowie. Ale był wysoki, postawny. Mógł się podobać dziewczynom. Dlatego pewnie zawrócił głowę jej córce. Bo cóż miała na tej wsi zabitej dechami. „Mój Boże, jaki młody człowiek jest naiwny! A potem tylko kłopoty i nieszczęścia”.

– To Franek! – powiedziała Renata.

Maria spojrzała przed siebie i wyciągnęła rękę do przywitania, którą młody mężczyzna schylając się niezgrabnie ucałował.

– Niech pan siada! – wskazała stojące przy stole krzesło z wypłowiałym zielonym obiciem.

Mężczyzna wykonał bezwolnie jej polecenie.

– Renata, podaj nam herbatę i coś do zjedzenia – zaczęła Maria. – Pewnie pan Franiu jest głodny, bo nie jadł kolacji. – A gdy córka wyszła, po chwili dodała: – Wie pan, dlaczego tu przyjechałam?

Zybura przyjął jej słowa w milczeniu. Cały czas zachowywał kamienną twarz, jakby nie wiedział, o co chodzi.

– Chciałam się dowiedzieć, co zamierzacie dalej robić... Bo Renata jest już w siódmym miesiącu ciąży.

– To moja wina? – głos Zybury zabrzmiał dość arogancko, nawet jak na jej skromne wymagania.

– Was obojga – odpowiedziała spokojnie, choć ten prostacki ton bardzo się jej nie spodobał. – Wypadałoby zatem pomyśleć o ślubie, bo to najwyższy czas. Nie można dalej z tym czekać... – Mówiąc to czuła w sobie niesmak ponizającej rozmowy i upokorzenia, jakie zgotowała jej własna córka.

– A ja wiem, czy to moje dziecko? – powiedział Zybura, mając nisko zwieszoną głowę.

– Jak możesz tak mówić? – wtrąciła mimowolnie, rezygnując z grzecznościowej formy „pan”.

– Mogę... Bo ktoś, kto mieszka w Grabowie, mi o tym powiedział.

– Tak, a to ciekawe?

Renata zaczęła płakać, a jej płacz wkrótce zamienił się w szloch. W pokoju panował półmrok. Naftowa lampa miała zakopconą kszulkę.

– Czy słyszysz? – zawołała dramatycznym głosem, sądząc, że tym przywoła Zybure do większego szacunku dla swojej córki.

– Mnie to nie wzrusza, bo wim swoje – Zybura patrzył tępo w podłogę.

– To znaczy?...

– Wim swoje. I tyła.

– Naprawdę?... Chcieliśmy także tobie pomóc. Mąż dałby ci trochę gotówki na spłatę sióstr. Wyprawiłby też Renacie wesele – jeszcze raz upokarzała się przed tym młodym mężczyzną dla dobra swej córki.

– Chcicie mnie przymusić do żeniaczki, co?... He-he! – w głosie Zybura slychać było prostacką drwinę. – Niedoczekanie!

Spojrzała jeszcze raz błagalnie, prawie z rozpaczą na niedosłego zięcia i zamilkła, gdyż bardzo ją ta niemila i nierówna rozmowa zmęczyła. Naprawdę nie miała już więcej sił, by ją kontynuować, bo wszystko zdawało się daremne. Ileż mogła się jeszcze upokarzać, po to, by go przekonać do swoich racji?...

– Chcemy twojego i jej dobra, ale skoro tak mówisz, to... – nie dokończyła, bo to, co chciała powiedzieć, mogło jeszcze tylko sprawę pogorszyć. Poczuła naraz dziwną niechęć do swej misji. – Będziemy jeszcze czekać na twoją odpowiedź... Zastanów się!

W pokoju zaległa głucha cisza. Zybura nic się nie odzywając, wziął płaszcz z wieszaka.

– Do widzenia! – A potem się poprawił: – Dobranoc! – powiedział obojętnym tonem i wyszedł.

– Widzisz, kogo sobie wybrałaś?

– Widzę, widzę...

Nagle cisza została przerwana. Rozległ się ponownie głośny płacz Renaty. Marii też poleciały łzy. Ciężko jej było jak nigdy. Za oknem zapadł już zmrok. Na niebie pojawiły się pojedyncze gwiazdy. ■

Dawida Ryll



Siostra zakonna, michalitka (Przemyśl). Poetka, pisarka, publicystka, członkini rzeszowskiego oddziału ZLP. Opublikowała zbiory wierszy: *Małe wędrowanie* (1994), *Prze-strzeń ofiarowana* (1995), *Bez poziomek* (1999), *Ścieżki niedalekie* (2002), *Czytanie z księgi lat* (2012) oraz powieść *Dom w cieniu skrzydeł* (wyd. I 1998, wyd. II 2008).

Po grzechu

Stąpali na granicy Raju
z widokiem na ziemię

Teraz wiedzą jak smakuje
owoc poznania
śmierci
Anioł bez miecza przychodzi
przecież wystarczy ostrze żalu
za utratą

Jeszcze jeszcze
ten nerw wieczności szarpie
pulsuje w nadziei
że głos Ojca dobiegnie i pozwoli
pozwole

zawrócić

Wspomnienia staruszek

Michalitkom

Wspomnienia mają twarze
imiona adresy

Ostrożnie odwijają
bandaże czasu

Miejsca niewygojone
sączą nadal lękiem
Grudki zastygłych łez
ropieją resztkami żalu

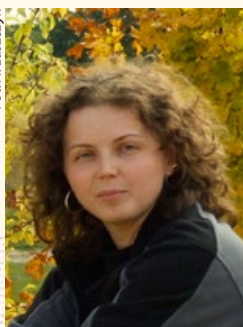
A niemowlęca niewinność
czeka na pocałunek miłości
którego nikt dotąd nie złożył

Otwieram tabernakulum
Panie
smakuję chleba
ich życia

Słyszę śpiewy
uwalnianych aniołów
z twarzą Tereski, Renatki, Marii

Spod ciężkich zasłon smutku
pod nowy adres światła

Fot. A. Łuszczak



Urszula Kopec-Zaborniak

Poetka, podróżniczka, dyrektorka biblioteki w Cieszanowie. Laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Końcem września 2014 r. ukazał się jej debiutancki tomik poetycki *Data ważności*, na który przeznaczona została jej stypendium im. Olgi Rok. Starac się o nie mogły bibliotekarki z małych miejscowości.

martwe nakrycie głowy

kiedys wierzyła że włosów się nie wybiera.
po prostu są. rosną splatając myśli w warkocz.
poruszają powietrze jak nasiona dmuchawca.

ale dyskretnie wyszły tłumacząc się
przewlekłą alergią na chemię otoczenia.

powietrze drżało gdy przymierzała inne życie.
czuła jeszcze zapach snu tamtej kobiety.

w lustrzanym odbiciu rozczesywała obce
wspomnienia przyklejone do peruki.
pojedyncze widokówki pamięci
które w żaden sposób nie rozumieją świata
ale chcą być nadane.

amazonka szukająca wiatru we włosach.
te żyją nawet po ścięciu.

bezsptyw

utknęłam w wiadrze. dziurawym do bólu.

wyrzucona za próg chałupy jak stara hucułka
zaciągam się fajką. przypalałam suszone dni.
już dawno nie mają smaku dzikiej róży.
dymi się. chwila rozdrapuje krtań.

niczym szmaciana kukła pozwalam
nosić się nad osmolonym jestem.
kłuje mnie w stopy. rozbiera z jutra.
naga opadam jak świerkowa kłoda
w zamglony Czeremosz.

prąd jest bezsilny.

kadr ze Spartakusa

mamie

posprzątałam grażdę ze swoich słów. gniazdo
z szepców matki silniejszych od uderzenia
pioruna kradnącego ciszę z podwórka.
zbudowaną bez użycia gwoździ. przemocy
wygrzewającej rzucone kości na zapiecku.

wysłałam bez tarczy. została w izbie.

bezczelnie dotykam słowem tego co było. mam prawo.
rymy z dzieciństwa maszerują białymi alejami.
happening? a może manifa? wybory.
kolejna kartka papieru którą trzeba zapisać.

dziś to dwa miecze i walka by nie być
niewolnikiem.

pytanie o wczorajszy oddech

pamiętam płot z malw
tańczący wieczorową porą do sonaty świerszcza.
nerwowo zdmuchiwał z ramienia desant spadochronowy
siana uciekający przed wrogiem ukrytym w sąsiedku.
nieraz widziałam jak babcia wiesza na nim troski
płynnie jakby zakładała garnki na sztachety
żeby szybciej wyschły.

pamiętam dziadka
siedział na tarasie i walczył z chwastami buszującymi
w polu. zaciskał w dłoniach przestraszone kłosa
i badał ich tętno. był gotowy do natarcia. spojrzaniem
inwentaryzował drzewa podpierające sklepienie.

zapytaj mnie proszę
przynieść ci jeszcze takie chwile?